

WYRÓŻNIENIE

Agata Marzec

Niobe

Nagły przyływ sił witalnych odepchnął ją gwałtownie od okna, ubrał w spraną bluzkę i niemodne dzinsy, po czym skierował w samo centrum zaludnionego lipcowym upałem miasta.

Pielgrzymowanie misternie opracowanym szlakiem miejscowych lumpeksów w dzień głównej dostawy czyniło Zofię podnieconą i rozdrażnioną zarazem. Z jednej strony, imponowała jej swą mocą ta wyjątkowa horda zezwierzęconych istot walczących o wydarcie byle-szmaty. Podniecała ją dominacja silniejszego i cudnie brutalna werbalna przemoc. Z drugiej jednak – odgłosy toczonych bitew nie pozwalały skupić się na tym, co było w te dni najważniejsze – na trofeach. Niezależnie od psychologicznego wysiłku włożonego w stłumienie rodzącej się we wnętrzu anarchii, Zofia czuła się jak na polu dziejowego pojedynku rozstrzygającego o losie dzikich jednostek. Wzbudzały one zarówno litość, jak i zgrozę.

Spotykała tego dnia na szlaku samoistne nagromadzenie osobliwości. Ciekawiła ją pani ze zniszczoną - w wyniku słabości do trwałej ondulacji - blond czupryną i nieumiejętnie użytą różową konturówką. Zastanawiał ją przygarbiony jegomość nie mający najmniejszych szans w starciu z samiczym żywiołem naturalnie predysponowanym do toczenia tego rodzaju bitew. Wzruszała sędziwa grubaska z tajemniczym dostojeństwem w oczach oraz para bliźniaczek zgodnie podążających zawsze tym samym splotem ulic, by z podwójną radością wkroczyć na teren wielkiego sklepu. Charyzmatyczni konkwistadorzy - niczym zwarta armia - każdego tygodnia wracali na wyznaczone pole, by stoczyć kolejny pojedynek jeden na jednego.

Jakże mityczne były to sceny! Czas przestawał istnieć, świat nie kręcił się nad głowami, uniwersalne sprawy traciły wartość. Liczyło się zwycięstwo tu i teraz, a cel uświęcał środki! Z ładu chaos się tworzył! Posegregowane i pooddzielane gatunki materiałów splotły się ogromną różnobarwną płachtę na Bucefocentaura. Trzepotała ona na wszystkie strony, podburzając dodatkowo instynkty władających nią w orgiastycznym tańcu uczestników upiornego misterium. Triumfotorem okazywał się ten, kto zdołał wepchnąć do przymierzalni największą liczbę szmat, z których większość trafiała na biurko kasjerki jako

odpowiadająca wyjątkowo elastycznym parametrom agresora. Nauczone pokory pakowaczki uwijały się bez słowa jak mrówki i tylko niezmienny wyraz ich twarzy decydował o panowaniu kobiet nad tłumem.

Towarzystwo wewnątrz tego wielkiego magazynu przebrań i form było wyjątkowo głośnie, czego Zofia nie potrafiła zrozumieć. Należało przecież skupić siły na wrywaniu, przepychaniu się, odtrącaniu i barykadowaniu. Tymczasem wokół rozlegał się rozprasający czynny bazarowy szmer rozmów lub monologów.

Zofia odważyła się zbliżyć do blond czupryny, żeby wsłuchać się w treść wypowiedzianych przez nią magicznych zaklęć. Niestety, najwyraźniej nie była godna współuczestniczenia w tajemnicy. Wataha wygłodniałych sępów napierała na nią coraz silniej. Oddaliła się więc od epicentrum i wylądowała przy zakurzonych płaszczach rozwieszonych na drewnianych wieszakach. Fetor wydobywał się z nich potworny, ale Zofia czuła się w tym miejscu dobrze. Stopniowo oddalając się od rozszalałej masy, mimowolnie stała się świadkiem komicznej sytuacji, która rozegrała się przy największej przymierzalni.

Otóż zdarzyło się, że w chwili, gdy blond czupryna wtargnęła na teren intymny wyznaczony przez ciemnozieloną kurtynę i zaczęła przymierzać z trudem zdobyte kostiumy, obok niej pojawiła się nagle przed lustrem spocona emerytka, zakładając na głowę pomięty niegdyś-kapelusz. Wrzask rozległ się przeraźliwy, blondyna stała przed twarzami ciekawskich w samej białźnie, obnażając wszystkie niedoskonałości swego ciała. Zastygła w zawstydzeniu, próbując nerwowo zakrywać dłońmi najbardziej zniekształcone partie luźnego fantomu. A gapili się wszyscy! Jedyne spocona emerytka nie czuła niezręczności sytuacji, wciąż niewinnie oglądając kapelusz, który ledwo mieścił się na jej kwadratowej głowie. Coś tam do siebie szeptała, poprawiła lustro, w końcu zdjęła opieszale nakrycie, wrzuciła je na kupę szmat w drewnianej skrzyni i powędrowała dalej.

Ale blondyna nie dała za wygraną, przyspieszyła kroku i udała się za nią, wykrzykując raz po raz niecenzuralne słowa i wymachując rękoma. A wszystko w pięknej oprawie zszarzałego stanika i odsłaniających lewy pośladek majtek. Tylko ciemnozielona kurtyna kpiąco powiewała, odbijając swoje chytre spojrzenie w lustrze. Nikt nie zwrócił uwagi na staruszkę, która odważyła się złamać prawa kolejki i skorzystać z poczucia poszanowania wieku, którego to obecność prawdopodobnie wyczuła instynktownie u blond damy. Niestety, przyszło jej drogo zapłacić za naiwną wiarę w ludzką dobroć - w ciągu zaledwie kilku sekund od pechowego zajścia została wyproszona z – bądź co bądź – kulturalnego lokalu. Blondyna zaatakowała w asyście całego personelu. Zwołany naprędce sąd zakończył się banicją.

W kolejce do luster działały się zwykle rzeczy najciekawsze. Zofia uwielbiała brać udział w pojedynkach na spojrzenia. Doszła do wniosku, że mit o mężczyznach-wzrokowcach wyrósł z niedoceny zdolności kobiet w tej materii. Podczas gdy mężczyźni sycili zmysły kształtami, kolorami i obfitością, kobiety przenikały zjawiska, wybiegały w najrozmaitsze konteksty, sięgały istoty niewidzialnego. Bez wahania jednym spojrzeniem diagnozowały status majątkowy kolejkowicza, jego pozycję społeczną, stopień przebojowości, poziom satysfakcji z życia, a nawet (o zgrozo!) możliwości intelektualne. Te ostatnie i tak nie miały znaczenia w opartym na prawach siły świecie pstrokatych szmat. Sztylety pojawiające się w kolorowych tęczówkach oczekujących w kolejce do przymierzalni sygnalizowały sięgające granic zniecierpliwienie. Niektórzy z nudów szukali wzrokiem miłości, inni bawili się w wypatrywanie rozpoznawalnych lokalnie twarzy. Krótko mówiąc, na płaszczyźnie wzroku panował niespotykany ruch.

Najgorsze było jednak to, że tłum męczył. Szmaty przytłaczały uginające się pod ich ciężarem drewniane skrzynie, ale te pozostawały niewzruszone. Nawet brutalne ciosy rąk wyszarpujących tkaniny nie były w stanie skrócić ich solidnego żywota. Życie odpływało za to z Zofii, której krucha sylwetka i nieodporna na wzmożony ruch głowa stopniowo ograniczały możliwości przerobowe we wnętrzu skrzyń. Poczula, że spłycony oddech spowolnił jej quasi-drapieżne ruchy i zepchnął na margines watahy. W tej sytuacji niemożliwe stało się upolowanie choćby przyzwoitej szmaty.

To nie były dla Zofii udane łowy. Jako jednostka wybitnie słaba i niezdecydowana, opuściła sklep z pustymi rękoma.

Wróci tu niebawem. Zawsze wraca.

Po wyjściu na rozświetloną słonecznym blaskiem ulicę spojrzęła na siebie samczym okiem – wyglądała demonstracyjnie nieatrakcyjnie. Niedopasowane do jej idealnej figury ciuchy miały zapewnić jej niewidzialność. Przecież świat pozbył się Zofii, więc dlaczego miała przypominać się światu. Niemodne kroje, wypłowiałe barwy, przypadkowe rozmiary – jakże trafnie odzwierciedlały one teraz wewnętrzne poczucie bylejakości. Jak bardzo spójne były z aktualną aurą panującą w jej duszy. Miała dziś ogromną ochotę wynalezienia w skrzyniach czegoś skrajnie bezkształtnego, tandetnego i odbierającego resztki wysychającej urody. Żałowała, że nie udało się zrealizować tej metafizycznej potrzeby ekspresji nagiej amorficznej duszy. Tego dnia za nic nie mogła przyodziać się w jakąkolwiek formę. I było to tak słodko podniecające. „Od rynsztoka do ściany zygzakami się toczyć, Ranyjulek! swobodny, bezpieczny, jak pies!”.

Powędrowała nad rzekę. Pomimo pięknej pogody, ludzi w okolicy brakowało. Wiedziała, że obok zejścia do wody, dzięki któremu przelamywała od czasu do czasu lęk przed zimnem płynnej tafli, będzie siedziała skamieniała emerytka. Wśród licznie występujących na tym terenie pomników przyrody, ona od dwóch lat stanowiła żywy pomnik ludzki. Przechodzili za jej plecami obojętnie, jakby faktycznie była już tylko kamieniem. Tymczasem wzrok kobiety z płomienną iskrą przenikał tajemnice rzeki, oddzielając je od siebie wewnętrzną cezurą mrugnięcia powieki, rzadziej – spływającej wolno krystalicznie czystej łzy. Splecione ciasno dłonie trzymała na złożonej w kostkę chuście. Siwe włosy tańczyły na wietrznym parkiecie, a zaciśnięte usta odgradzały ją szczelnie od świata. Cała była bezruchem...

Zofia poznała historię emerytki przypadkiem, podczas rodzinnego obiadu w bloku przy ulicy Grottgera, w którym równie przypadkowo uczestniczyła ogólnie nie lubiana sąsiadka. Historia była krótka: najpierw ogromny huk, przeraźliwy krzyk, potem wybuch i cisza. Wszystko to trwało zaledwie kilka sekund. Śmierć jedyne go syna nastąpiła szybciej niż jego odbyty w bólach poród. Zdrowy, prężny, barczysty chłop został złamany niczym gałązka pod czapą lodu. Właśnie wtedy, kiedy zjeżdżał do domu matki po dwudniowej pracy w terenie. W tle Grechuta przekonywał, że: „Ważne są tylko te dni, których jeszcze nie znamy”. Od tego dnia było już bardzo cicho. Martwy dom matki stał się ogromną trumną, w której spoczywały obok siebie: krwio pijcza miłość i niewyraźne cierpienie.

Uciekała z domu-trumny tuż po śniadaniu, chwytając w ręce dużą kwiecistą chustę w kolorach ziemi. W razie niepogody owijała się nią ciasno, umożliwiając sobie wielogodzinne tkwienie nad rzeką.

Rzeka starała się przepływać u zejścia do brzegu bezszelestnie i niezauważenie, jakby nie odważyła się dotknąć stóp Niobe nawet najmniejszym przejawem swojego akwarystycznego życia. Posągowość emerytki wzbudzała naturalny szacunek. Była samozwańczą panią rzeki. Sądzone, że nawiedzoną lub przynajmniej obłąkaną, ale już nieodzowną w tym fragmencie krajobrazu.

Tymczasem chusta odfrunęła niespodziewanie w stronę drugiego zejścia. Zofia instynktownie poderwała się z miejsca i pobiegła stronę rozłożonego na błotnistej ziemi materiału. Nie, tej straty rzeczna Niobe nie mogła doświadczyć! Los już nic nie ma prawa jej zabrać! Heroicznie powstrzymała ją przed kolejnym odlotem, do którego wyraźnie składała się falująca płachta. Wyszarpała ziemi i jak najcenniejsze trofeum bez słowa umieściła na kolanach starszej pani. Dokładnie tak jak leżała ona przed buntowniczym odlotem. Uff, staruszka nie zdążyła zauważyć niesforności swojej powierniczki.

Zofia cofnęła się i wróciła do wielkiego magazynu. Kupi sobie taką samą chustę, owinie w nią cały swój ból i zostanie panią chłodnych lipcowych wieczorów na przy Podgórnjej.